NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie w mi jscu 1456·— Marek, z przes. 1482·— Mk. Półroczuie 2964·— Mk. Rocznie 5928·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. ·umer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 98 (dom własny).

Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 120 Marek.

Rok XIX. Kraków, 3 czerwca 1922. Nr. 22.

Hołd Krakowa dla syna nieśmiertelnego Wieszcza



Defilada młodzieży krakowskiej przed Władysławem Mickiewiczem (×) na Rynku w dniu 25 maja b. r.

OD WYDAWNICTWA.

Skutkiem nowego, bardzo znacznego podwyższenia cen papieru i materyałów niezbędnych przy wydawnictwie pisma illustrowanego, podniesienia wynagrodzeń personalu i wzrostu innych wydatków, przy równoczesnem obniżaniu się marki polskiej, widzi się Wydawnictwo *Nowości Illustrowanych* zmuszonem do podniesienia ceny za pojedynczy egzemplarz na

120 marek

co wpłynie również na podwyższenie prenumeraty kwartalnej i rocznej, która odtąd wynosić będzie:

kwartalnie	**1482**	marek
półrocznie	**2964**	„
rocznie	**5928**	„

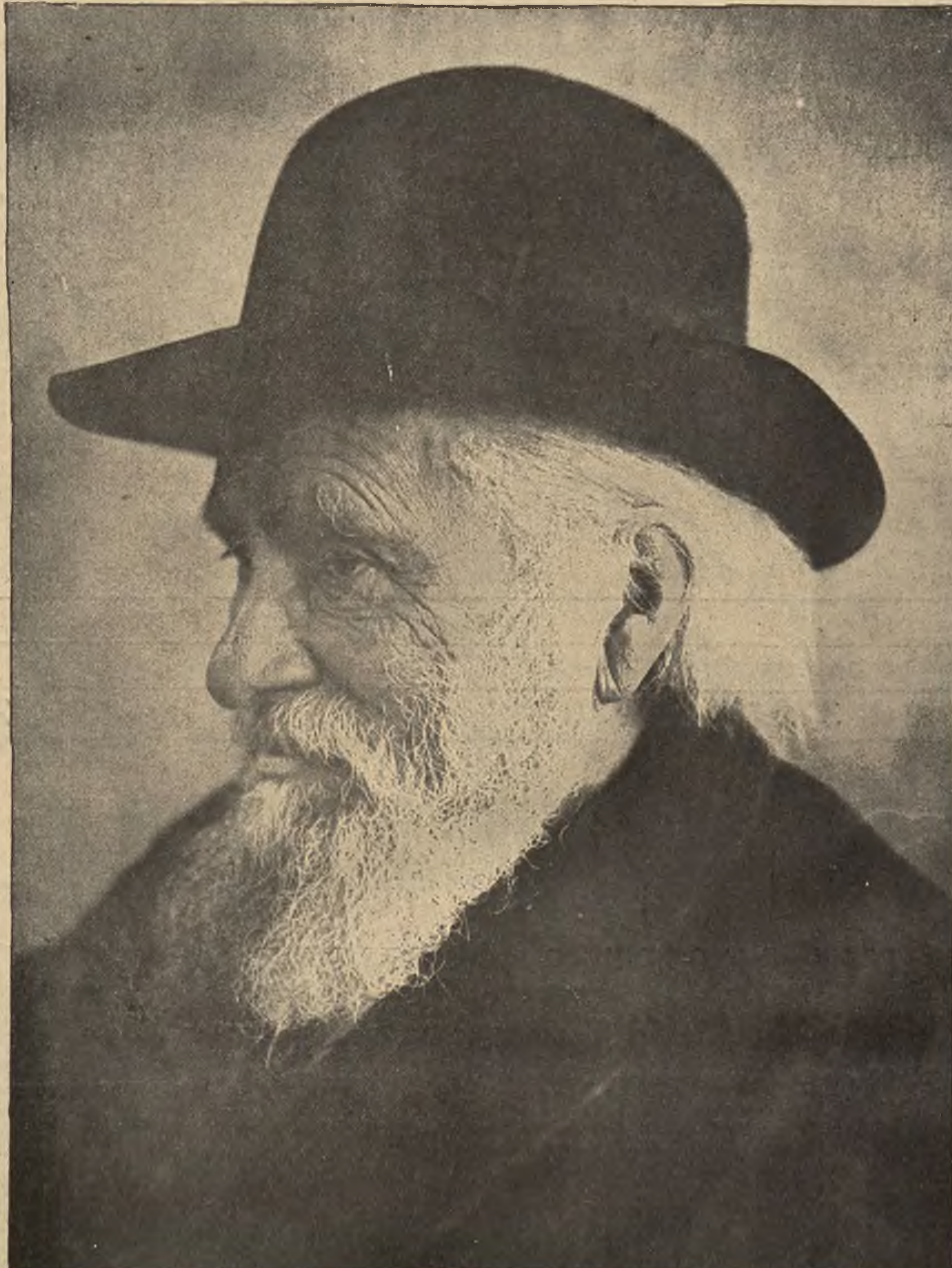
Podwyżka ta wchodzi w życie z dniem pierwszego czerwca, a choć na oko przedstawia się dość znacznie, jest przecież, w stosunku do innych wydawnictw, bardzo umiarkowaną. Pismo, za które przed wojną płaciło się trzy centy, kosztuje dziś trzydzieści marek, *Nowości Illustrowane* z szesnastu centów podrożały tylko na sto dwadzieścia marek, przy kalkulacyi staraliśmy się uwzględnić także i interes czytającej Publiczności, nie reflektując na jakoweś zyski, lecz ograniczając się jedynie na pokrycie własnych wydatków.

Nie wątpimy, że P. T. Czytelnicy uwzględnią wyjątkowe położenie, w jakiem się polskie wydawnictwa znalazły i nie odmówią nam i nadal swego cennego poparcia.

Hołd Krakowa dla syna nieśmiertelnego Wieszcza.

(Do ilustracyi tytułowej i ilustracyi w tekście).

W ubiegłym tygodniu gościł Kraków w swych murach syna naszego nieśmiertelnego Adama, Władysława Mickiewicza, który przybył do kraju rodzinnego z okazyi setnej rocznicy wydania pierwszych tomów poezyi swego wielkiego Ojca. Po owacyjnem przyjęciu w Poznaniu, Warszawie i Wilnie przyszła kolej i na Kraków, dokąd sędziwy gość przybył w dniu 24. maja b. r., witany serdecznie przez przedstawicieli wszystkich sfer naszego miasta, w szczególności zaś przez młodzież.



Hołd Krakowa dla syna nieśmiertelnego Wieszcza: Władysław Mickiewicz

Pierwszy dzień pobytu Władysława Mickiewicza w murach Krakowa zajęło zwiedzenie jego osobliwości, dzień następny, 25. maja był punktem kulminacyjnym uroczystości, urządzanych na cześć miłego Gościa. Przed południem odbyło się w gmachu Almae Matris Jagellonicae wręczenie Władysławowi Mickiewiczowi dyplomu honorowego doktora filozofii, nadanego mu przez Senat akademicki w uznaniu zasługi, jak powiada odnośny dyplom — obywatela miłością Ojczyzny najgorętszej płonącego, który szeregiem prac swych przez lat sześćdziesiąt pięć szerzył znajomość i umiłowanie dzieł wiekopomnego ojca swego a zarazem najlepszego syna Ojczyzny i duchowego jej Wodza. Uroczystego aktu dokonano po odpowiednich przemowach rektora Nowaka i prof. Kallenbacha, na które odpowiedział nowy doktor do łez wzruszony.

Z budynku uniwersyteckiego udał się dr. Władysław Mickiewicz w towarzystwie rektorów Nowaka i Estreichera na Rynek krakowski, gdzie u stóp pomnika największego Wieszcza narodu złożył Kraków swój hołd Jego synowi. Tysiączne rzesze zapełniły obszerny plac, przed pomnikiem zajął miejsce miły Gość w otoczeniu przedstawicieli wszystkich warstw naszego społeczeństwa, przedewszystkiem zaś świata naukowego i młodzieży. Do dra Mickiewicza przemówił w krótkich słowach rektor Nowak, poczem odbyła się defilada młodzieży krakowskiej. Akt ten hołdu dla idei Mickiewiczowskiej, pielęgnowanej z pietyzmem w sercach polskich przez całe lat dziesiątki, acz urządzony dorywczo, pełen przecież był powagi i nastroju i niezatarte po sobie pozostawił u uczestników wrażenie. W południe podejmował dra Mickiewicza rektor Nowak, wieczorem odbyło się zaś przyjęcie w salonach Koła Literacko-artystycznego i Klubu Prawników, w którem wziął udział bawiący w tym dniu w Krakowie w powrotnej drodze z Genui, minister Skirmunt.

Następne dni pobytu wypełniło powitanie dra Mickiewicza w lokalu krakowskich Filomatów i Filaretów, uroczyste posiedzenie na cześć swego czynnego członka Polskiej Akademii Umiejętności, manifestacya młodzieży uniwersyteckiej w auli, połączona z przemówieniami deklamacyami i produkcyami wokalnemi, oraz uroczyste przedstawienie „Dziadów“ w Teatrze miejskim im. Słowackiego. W niedzielę rano wziął Władysław Mickiewicz udział w uroczystości poświęcenia sztandaru krakowskich harcerzy, wbijając w jego drzewce pierwszy gwóźdź honorowy.

W czasie pobytu swojego w Krakowie spotykał się Władysław Mickiewicz wszędzie z gorącymi wyrazami sympatyi całego naszego społeczeństwa, które w ten sposób w osobie Syna uczciło godnie zasługi i pamięć jego wielkiego Ojca.

W poniedziałek rano opuścił sympatyczny Gość mury podwawelskiej stolicy, udając się do Warszawy, skąd we środę wyrusza z powrotem do Francyi.



Hołd Krakowa dla syna nieśmiertelnego Wieszcza: Władysław Mickiewicz w otoczeniu przedstawicieli krakowskiego społeczeństwa u stóp pomnika swojego Ojca. Między uczestnikami dwaj bawiący wówczas w Krakowie deputowani do parlamentu francuskiego, Lorin i Grosjean.

Zjazd Związku Polskich Miast we Lwowie.

Ubiegły tydzień przeszedł pod znakiem rozmaitych zjazdów i uroczystości, jakie odbyły się w różnych okolicach naszego kraju. Między innymi odbył się Zjazd Związku Miast Polskich we Lwowie, zasługujący na tem silniejsze podkreślenie jego znaczenia dla naszego życia narodowego, iż dał sposobność dalszego zamanifestowania sympatyi polsko francuskich. W Zjeździe wzięło udział kilku wybitnych przedstawicieli społeczeństwa francuskiego, przeważnie merów większych miast, którzy z nad Sekwany pospieszyli nad Wisłę, aby bliżej poznać kraj i naród, złączony dzięki wojnie tak silnemi więzłami z Francyą. Poza tem, obok względów koniunkturalnych polityczne, nakazanej polsko francuskim sojuszem, wchodzić muszą w grę interesy natury ekonomicznej, polskie przyrodzone skarby surowe przyczynić się mogą wydatnie do podniesienia francuskiego przemysłu, który naodwrót znajdzie w Polsce pożądany rynek zbytu.

Goście francuscy odwiedzili po drodze także i Kraków, gdzie zwiedzili osobliwości, następnie zaś Wieliczkę i Zakopane, przyjmowani wszędzie bardzo serdecznie, wywożąc z Polski, którą dotąd we Francyi mało znano, bardzo dodatnie wrażenie.

Lwowskie obrady Związku Miast przy licznym bardzo udziale przedstawicieli miast polskich ze wszystkich dzielnic, wobec francuskich gości, delegatów władz cywilnych i wojskowych i licznie zebranej publiczności zagaił w byłej sali sejmowej, dziś auli uniwersytetu Jana Kazimierza, prezes Związku prezydent miasta Krakowa Jan Kanty Federowicz, który w uroczystej przemowie powitał uczestników, wykazując cele i zadania, czekające w najbliższej przyszłości polskie mieszczaństwo. Przewodniczącym Zjazdu obrano p. Nowodworskiego, a na całym szeregu zebrań tak plenarnych, jak i w rozlicznych komisyach powzięto liczne wnioski, mające na celu podniesienie znaczenia mieszczaństwa i jego interesów, tak bardzo obecnie upośledzonych.

Jednym z punktów programu lwowskiego Zjazdu było złożenie hołdu bohaterskim obrońcom naszej kresowej stolicy. W tym celu przedstawiciele Związku Miast udali się *in corpore* na Cmentarz Obrońców, gdzie wobec tysięcznych tłumów odbyła się bardzo podniosła, a pełna powagi manifestacya żałobna, mająca na celu uczczenie zasług i pamięci bohaterów. Przemawiał prezydent Federowicz, podnosząc męstwo i ofiarność młodzieży, których dowody złożyła w ciągu walk o niepodległość Lwowa i Wschodniej Małopolski.

W niedzielę przed południem zakończono obrady plenarnem posiedzeniem uczestników Zjazdu. Żegnając w sposób szczególnie serdeczny zwłaszcza przedstawicieli Francyi, których współpraca przy odbudowie obu zniszczonych wojną krajów powinna się stać silną dźwignią dla naszego mieszczaństwa, nieumiejącego dotąd wyzyskać należycie swego znaczenia i wpływów.



Zjazd Związku Polskich Miast we Lwowie: Inauguracyjne posiedzenie Zjazdu w auli Uniwersytetu. Na pierwszym planie goście francuscy. Fot. Münz, Lwów.

Przewodniczący delegacyi francuskiej, p. Gilly wyraził w rozmowie z jednym uczestników Zjazdu swe wielkie zadowolenie z pobytu w Polsce i poznania jej życia. Zauważył przytem, że zwłaszcza lwowskie „Targi Wschodnie“ obudziły we Francyi bardzo żywe zainteresowanie, czego dowodem, iż już na najbliższych wystąpi Francya z własnym pawilonem, zawierającym najważniejsze eksponaty przemysłu francuskiego, mogące znaleźć zbyt we wschodniej części Europy. Jest to zapowiedzią nawiązania żywszych stosunków handlowych z Polską, a zarazem stwierdzeniem, że idea „Targów Wschodnich“ była trafnie obmyślaną i przeprowadzoną i w życiu ekonomicznem naszego kraju, przedewszystkiem zaś Lwowa, musi odegrać bardzo wybitną rolę. Dawne świetne tradycye handlu polskiego, którego szlak szedł przez Lwów ku Wschodowi i na południe, w samodzielnej i zjednoczonej Polsce odżyją na nowo.

Tydzień Harcerski w Krakowie.

Zasada: „W zdrowem ciele zdrowy duch“ zyskuje coraz to więcej zwolenników, czego dowodem zwiększające się z dnia na dzień zastępy naszych harcerzy, którzy od najmłodszych już lat swojego życia uczą się w tej praktycznej szkole służby dla ogólnego dobra. Idea harcerska, przeszczepiona do



Tydzień Harcerski w Krakowie: Prof. dr. Ciechanowski z poświęconym sztandarem w dłoni w otoczeniu rodziców chrzestnych i uczestników uroczystości na Rynku krakowskim w dniu 28 maja b. r.

nas z za granicy, przyjęła się na naszym gruncie i rozwinęła w stosunkowo bardzo krótkim czasie.

Tegoroczny Tydzień Harcerski w Krakowie rozpoczął się w dniu 28 maja b. r. poświęceniem sztandaru krakowskiego oddziału po nabożeństwie, odprawionem w kościele N P. Maryi. Ceremonii poświęcenia dokonał na Rynku krakowskim wobec przedstawicieli władz, licznego zastępu harcerzy obojga płci i tłumu, złożonego ze wszystkich warstw naszego społeczeństwa, ks. Stojanowski, który w podniosłych słowach przemówił do dziarskich druhów, wykazując ich zadania i cele. W uroczystym akcie wziął także udział bawiący w Krakowie syn Adama Mickiewicza, Władysław. Po wbiciu gwoździ honorowych ogłosił prof. Ciechanowski Tydzień Harcerski za otwarty, a poranna uroczystość zakończyła się defiladą oddziałów harcerskich przed sztandarem, starszyzną i gośćmi.

W południe odbył się koncert muzyki wojskowej na Plantach, popołudniu zaś na boisku „Sokoła" bardzo udatny festyn, który zgromadził liczną publiczność, oklaskującą żywo ciekawe popisy harcerskie.

Następne dni zajęło otwarcie Wystawy harcerskiej, urządzonej w budynku krakowskiej komendy przy Placu Jabłonowskich, odczyty o zadaniach harcerstwa, uroczyste przedstawienie w Teatrze miejskim i wiec obywatelski w sali Kopernika w budynku uniwersyteckim.



Układy gospodarcze między Polską, a sowiecką Ukrainą: Członkowie komisyi kolejowej polsko ukraińskiej, mającej na celu przywrócenie normalnego ruchu na linii Podwołoczyska-Wołoczyska z przewodniczącym delegacyi polskiej st. radcą Wieniewskim (X) i ukraińskim dyrektorem Wydziału ruchu, Puszkarewem (XX), na czele.

Zwłaszcza wystawa budzi ogólne zainteresowanie, dając sposobność poznania pracy młodego pokolenia w najrozmaitszych kierunkach. Niektóre z eksponatów są wykonane tak precyzyjnie, iż poprostu wierzyć się nie chce, że są dziełem młodych rąk, rwących się dopiero do życia. Otwarcia Wystawy dokonał kurator Okręgu Naukowego Krakowskiego, prof. Owiński, który przemówił na temat znaczenia harcerstwa dla odrodzenia Polski i zakończył okrzykiem na cześć idei harcerskiej.

Prez. Ponikowski w gimnazyum dla b. wojskowych.

Tak, jak wówczas, gdy konieczność tego wymagała, było świętą powinnością każdego pospieszyć na ratunek zagrożonej Ojczyźnie, jest obecnie obowiązkiem społeczeństwa zająć się gorąco losem wszystkich tych, którzy pospieszyli ochoczo pod sztandary, przerywając swe studya, czy to teoretyczne, czy praktyczne. Należy im ułatwić zajęcie obywatelskiego stanowiska, dającego uczciwie zapracowany kawałek chleba, aby nie byli zepchnięci do rzędu ofiar, korzystających z łaski społeczeństwa.

W tym celu, przyznać trzeba, zrobiono już u nas i robi się bardzo wiele, tak rządowe, jak i prywatne czynniki spieszą chętnie z pomocą dla zdemobilizowanych żołnierzy, ułatwiając im kontynuowanie studyów, przerwanych służbą wojskową. Tak w dziedzinie wykształcenia praktycznego, mającego dać możność pracy fizycznej, jak i umysłowego dla tych, którzy przerwali studya naukowe, poczyniono wszelkie udogodnienia, mające im bodaj w części powetować stratę czasu, spędzonego w służbie dla ogółu. Urządza się w tym celu rozmaitego rodzaju kursy teoretyczne i praktyczne, dające pod fachowem kierownictwem w krótszym, niż normalnym czasie, należyte wyszkolenie.

Do tego rodzaju zakładów należy powołane do życia w Warszawie państwowe gimnazyum dla byłych żołnierzy, którzy tutaj mogą w skróconym terminie ukończyć przerwaną naukę i otrzymać świadectwo dojrzałości, otwierające drogę do studyów wyższych. Tego rodzaju zakład naukowy ma i tę jeszcze dobrą stronę, iż nie naraża swych wychowanków na zetknięcie się z daleko młodszymi ko-



Prezydent Ponikowski w gimnazyum dla byłych wojskowych: Prezydent Ponikowski w otoczeniu kierowników i wychowanków zakładu. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

RENE BURES.

Zil=X...

28) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Ale jaki związek mógł istnieć pomiędzy tym Zilem a kapitanem de Limandoux – i jaki związek jeszcze pomiędzy trzema wiadomemi zbrodniami, a morderstwem dokonanem na ulicy Krętej przez Soldache'a? Naprawdę mogło się zdawać, że zagadka, która pojawiła się z dniem zamordowania senatora Poivrier wzmagała się z dniem każdym i że wszystkie odkrycia poczynione przez nas, miały tylko na celu zwiększenie ciemności, jakie nas otaczały. Tego samego wieczoru dostaliśmy ostrzeżenie od Igginsa, że dotąd nic interesującego nie zdarzyło się jeszcze. Ten Soldache według zebranych informacyi miał być pospolitym pijakiem, bez żadnej przeszłości, złodziejem, który zamordował swoją ofiarę jedynie w celu rabunku.

Wykonanie Wyroku.

Nie mam wcale zamiaru opisywać tutaj wzruszającą scenę odbytej egzekucyi na Soldache'u. Opisali ją dostatecznie i w sposób senzacyjny reporterzy dziennikarscy, którzy jak kruki zbiegli się na to widowisko.

Co do mnie, zachowałem o nim bardzo przykre wrażenie Na szczęście, cała energia moja i węła w danym momencie zajęta była w pierwszym rzędzie czem innem. Asystowałem tej scenie z musu jedynie, służbowo i starałem się nie zapomnieć o tem. Nic mnie nie obchodziło ponad to, czego dowiedzieć się tu mogłem w kierunku naszej sprawy.

Czyż nareszcie uda się mi wpaść na słowa rozwiązujące tę męczącą zagadkę?

Wieczorem tego dnia otrzymałem od Markasa, przyrzeczony bilet wstępu i kilka słów, w których mi donosił, że sam także będzie zmuszonym być tam na miejscu i że zapewne spotkamy się, gdyż chce mi jeszcze uczynić pewne udogodnienia w wyborze miejsca, z którego najlepiej będę mógł widzieć wszystko.

Tyle uprzejmości ze strony starego ajenta zdziwiło mnie trochę. Ale Dalton wyjaśnił mi, że Markas czynił tak, przez wzgląd na Igginsa, którego cenił nadzwyczajnie. Tym sposobem chciał się wkraść w jego łaski i zbliżyć się do niego, co było jego najgoręt szem życzeniem.

Przed wyjściem przespałem się parę godzin, poczem udałem się samotnie na skromną kolacyę do małej restauracyi w dzielnicy łacińskiej. Ztamtąd, okrążając, bo czasu jeszcze miałem dosyć, doszedłem do ulicy Św. Jakuba stał tam już tłum, zbity, zatrzymany kordonem policyi. Pokazałem kartę swoją i przepuszczono mnie. Stanąłem w końcu bramie przy więzienia, gdzie spotkałem Markasa, oczekującego już na mnie i palącego flegmatycznie cygaro... Spokój jednak był tylko pozorny. Po paru słowach, poznałem, że coś go jednak niepokoi.

– Co tam nowego? zapytałem życzliwie... coś nie idzie po myśli pana?

– Eh! – odparł Markas. – Myślę nad tem, jak sobie poradzę z tym drabem. We trzech nie byłoby ich za dużo, a teraz skoro tylko dwóch zostało, nie wiem, jak z tego wybrną. Sam kat będzie musiał prawdopodobnie udzielić pomocy.

– Dlaczego?

– Ah! bo to pan nie wie jeszcze! Wszystkiego narobiła ta depesza – wskazał papier trzymany w ręce?

– Depesza?

– Tak. Niech pan sobie wyobrazi, że Sangé, pierwszy pomocnik kata, został otruty wczoraj wieczorem.

Drgnąłem całem ciałem, jak gdyby dotknięty prądem elektrycznym.

– Otruty?

– Tak. Zadziwiło to pana – prawda?

– Znajduję, że od pewnego czasu ludzie za często umierają nienaturalną śmiercią.

– To tak zawsze – odparł flegmatycznie Markas. Tylko przedtem nie spostrzegał pan tego.

– Jakto?

– Przecież dawniej nie zajmował się pan kryminalnymi sprawami.

– Być może – odpowiedziałem, starając się przybrać jak najobojętniejszą minę, bo czułem się silnie podniecony tą świeżo odebraną wiadomością.

Dręczyła mnie teraz myśl, czy Iggins i jego ludzie wiedzieli także o tem? jeżeli nie – to w jaki sposób miałem ich powiadomić o tem? Może zajęcie się sprawą tego otrucia, było rzeczą naprawdę wielkiej wagi. W miarę zastanawiania, powoli powracał mi spokój i przytomność umysłu.

Przecież nie żyliśmy w średniowiecznych czasach, kiedy to mordowano lub porywano katów, aby nie doprowadzić do wykonania wyroku nad skazanym.

A więc tu chodzić musiało o banalny mord jakiś, niemający nic wspólnego z wyrokiem mającym się za chwilę odbyć. I tak zapewne musiał to pojmować Markas.

– To jednak dziwne – odezwał się on właśnie w tej chwili – jak ci panowie ze sądu się opóźniają. Co oni powiedzą dowiedziawszy się o tem otruciu?

– Czy posiadacie Markasie jakie szczegóły? – zapytałem.

– Żadnych – odpowiedział stary ajent – Oh! widzi pan! już jadą!

Nadjeżdżały dwa automobile, wiozące urzędników wyznaczonych do asystowania egzekucyi. Między nimi znajdował się adwokat, broniący oskarżonego, kapelan więzienny i dwóch ajentów policyi.

W tej samej chwili w bramie więziennej stanął kat.

– Jednego pomocnika mi brakuje – rzekł zwracając się do Markasa.

– To wy nie wiecie?

– O czem?

– O otruciu Sangé.

– Sangé został otruty? – zawołał kat ze zdumieniem.

– Tak, wczoraj w nocy! Ale dziwi mnie to, że nie wiedzieliście o tem.

– Jakże miałem się dowiedzieć? Przed przybyciem tutaj, oczekiwaliśmy go napróżno w komisaryacie. Nie przyszedł. Sądziłem, że się spóźnił, co zdziwiło mnie nawet, bo Sangé należał do punktualnych ludzi.

– Tak, został zamordowany – powtórzył Markas.

– Co za brzydka sprawa! jakże my teraz sobie sami poradzimy. Do tego wszystkiego, to bydlę, które Sangé przyprowadzał sobie zawsze do pomocy – wiecie? ten dyabeł rudy...

– To co?

– Nie przyszedł także.

Markas zagwizdał przeciągle.

– Ładnie teraz wyglądacie.

– A ładnie.

– No i co będzie.

– Muszę w końcu poradzić sobie sam, z jednym pomocnikiem. Nie mamy czasu na rozmyślania.

– Nie każecie szukać tego trzeciego pomocnika Markasie? – rzuciłem niedbale. Może i jemu przytrafiło się coś złego. Jakże się on nazywał, nie wiecie?

– A niewiem – mruknął kat. Sangé przyprowadzał go na swój rachunek. Doskonale się zresztą sprawiał. Teraz będę musiał sam dwóch zastąpić.

Mówiąc to kat oddalił się, a Markas poszedł za nim. Zimno było dosyć przenikliwe. Zacząłem chodzić tam i z powrotem chcąc się trochę rozegrzać. W tej przechadzce przejść musiałem obok wozu, który przywiózł gilotynę na plac tracenia. Przy wozie stał teraz furman człowiek wysoki, gruby, o nalanej, wyżartej alkoholem twarzy.

Nagła myśl przyszła mi do głowy.

Przybliżyłem się do wozu z miną dosyć uprzejmą i rzuciłem żywo:

– Czy nie wiesz mój przyjacielu, co się stało z przyjacielem pana Sangé? Nie przybył jeszcze dotąd.

– Zilowi? – zawołał furman.

Zil! Zil! On wymówił imię Zil! Czy śniłem! Ale nie! Przecież zbliżając się do niego już miałem przeczucie dziwne, że dowiem się czegoś od tego grubego człowieka – że ten pomocnik pana Sangé, indywidyum o czerwonych włosach będzie naszym tajemniczym Zilem! Czyżby i mnie zaczęły nerwy unosić tak, jak Daltona!

Temu przeczuciu jednak zawdzięczam obojętność i zimną krew z jaką przyjąłem tę wiadomość. Nie drgnąłem więc nawet usłyszawszy to fatalne imię, tylko ręką trochę drżącą zapaliłem papierosa.

– Nie przyszedł jeszcze? – powtórzył gruby człowiek.

– Nie.

– Oh! to mu nie zazdroszczę! Pryncypał nie daruje mu takiego opóźnienia. Co prawda i towar jest taki, że czekać nie może.

– Znaliście go?

– Dlaczego się mi pan pyta o to – co?

– Bo on był przyjacielem pana Sangé, a pan Sangé został zamordowanym dziś w nocy.

– Naprawdę?

– Tak.

– Do dyabła! – zaklął.

– A więc może przyjacielowi pana, panu Zilowi stało się coś.

– Zil nie był moim przyjacielem – odrzekł gruby człowiek spluwając zamaszyście na ziemię. – On tylko lubił dobrze zapłacić przy każdej egzekucyi. Oto co chciałem powiedzieć. Pozatem nie znałem go wcale.

– Być może, że i on został zamordowanym – ciągnąłem dalej.

– Każdy może sobie myśleć, co mu się podoba. Może i pan ma słuszność. Jego można było łatwo zamordować.

– Dlaczego?

– Bojaźliwy był, tchórzliwy. Bez humoru i brzydki jak sam dyabeł. Ale dosyć już o nim. Co to mnie wszystko obchodzi – dodał stangret oddalając się trochę odemnie.

Widziałem, że więcej z niego już nic nie wyciągnę. Nie nalegałem więc. Zresztą dowiedziałem się tego, co wiedzieć chciałem. Teraz nadchodziła kolej na Igginsa. On tylko mógł pokierować wiadomościami, które udało mi się zdobyć.

Co do mnie powinienem był tylko czekać i śledzić przebieg egzekucyi. A może stanie się coś takiego w ostatniej chwili, co wstrzyma jej przebieg? Czekałem więc.

Przebieg egzekucyi i przygotowania zastowane do niej, odbyły się w sposób bardzo banalny, napełniając mnie niesmakiem i wstrętem. Zaledwie pierwsze blaski słoneczne ukazały się na niebie, ujrzałem jak wyprowadzono z więzienia małemi bocznemi drzwiami, mordercę Soldache'a. Straszny to był drab, barczysty olbrzym, o głupim zwierzęcym wyrazie twarzy. Kat i jego pomocnik, prowadzili go. Z trudem, udało im się wsadzić go do wozu mającego go zawieść na miejsce stracenia. Wyrywał się, klął, drżał całem ciałem i toczył wokoło spojrzenia dzikie i wściekłe.

Przy wysiadaniu spokojniejszym już był i jak gdyby go siły nagle opuściły. Pod gilotyną, ostatni odruch buntu wstrząsnął nim jeszcze, lecz już oprawcy rzucili się na niego i ubezwładnili zupełnie. Potem doszedł mnie tylko krzyk i złowrogi stuk opadającego ostrza.

Egzekucya została wykonaną!

W tej chwili człowiek jakiś, ajent zapewne, potrącił mnie i wymówił cichym przytłumionym głosem.

– Proszę się udać pod posąg lwa z Belfortu.

Pospiesznie udałem się do wskazazanego miejsca, nie pożegnawszy się nawet z Markasem. Chciałem jaknajprędzej zobaczyć się z Igginsem i powiadomić go o tem, co wiedziałem.

Czekał na mnie paląc fajkę, wygodnie oparty, o szeroką podstawę rzeźbionego lwa.

– Nie było jednego pomocnika – prawda? – rzekł ujrzawszy mnie.

– Tak, został otruty. Wiedzieliście o tem, Iggins?

– Tak.

– Ale nie wiecie może, że towarzysz tego pomocnika to nasz Zil?

– Nie wiedziałem. – Mów chłopcze!

W krótkich słowach opowiedziałem mu rezultat moich poszukiwań.

Iggins palił fajkę. Po kłębach dymu, które raz po raz, wyrzucał z ust, poznałem, że był silnie poruszony.

– Doskonale się spisałeś mój chłopcze – wyrzekł kiedy skończyłem. Czekajmy teraz na Daltona. Bez niego nic działać nie możemy.

Wsparłem się o posąg obok niego i zapaliłem papierosa. Ranek był chłodny. Teraz, kiedy już pierwsze wzruszenie opuściło mnie, czułem, że ogromne pragnienie snu ogarnia mnie. Byłem przytem bardzo głodny i z chęcią byłbym się napił choćby szklankę gorącej herbaty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.
(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

8)

— Co to? Stoi tam... poniżej... To ciemne na tle rzeki.

— To była każdź... to jej resztki zwęglone.

— Ale nie... Tam... Tam coś stoi... rusza się... zbliża się...

— Ależ nic. Uspokój się... nic niema, nikogo tu niema...

— Gwiazdy, gwiazdy... gwiazd miliardy...

— I duchów milion między ziemią a gwiazdami.

— Jęczą... zawodzą... jak wiatr słotną jesienią... Z oparów krwi wstają i majaczą w mrokach północy... I snują się z żalem i wyrzutem wieczystym. Słyszysz? pełne powietrze tragicznych pytań: „Czemu?... czemu?... czemu?!"

— Uspokój się.

— Nie mogę. Tak strasznie, tak przeraźliwie strasznie, że nigdy nie myślałam, by na tej ziemi mogło być tak strasznie... Zdaje mi się, że tam nie może być tak strasznie...

— Tam? Edwardzie... jak tam?...

— Dla jednych straszniej niż na ziemi... dla innych na ziemi było straszniej.

— A jak tobie, Edi?... Nie ukrywaj przedemną... Mnie już wyznać możesz. Ty wiesz sam, że wszystko, czego się dowiem, nie będzie już tak straszne, jak to piekło, przez jakie przeszłam w dniach ostatnich.

— Tak, Izo... i mnie już nigdzie większe nie czeka nad tę mękę pierwszych dni... spędzonych na rubieży dwu światów... Wiesz, co ci powiem... że dla innych... nie lata, lecz wieki trwać może to, co ja przebyłem w ciągu paru pierwszych dni.

— Więc duch twój tak mocny, że się mógł w tej męce wznosić coraz wyżej?

— Nie wiem, Izo... czyja w tem zasługa... czy pracy mego ducha przed śmiercią... czy miłości twojej... czy też cudzej łaski... nie wiem... alem w godzinach przebywał dalekie przestrzenie, na które innym lat będzie za mało...

— A Zygmunt?

— On był wcześniej odemnie tam, gdzie ja dziś dopiero jestem.

— Więc tyś się męczyć przestał?

— Męczyć? O, Izo! ja się dopiero zaczynam męczyć... tą męką doskonalącego się ducha, który z wyżyn nieba spogląda w czeluście piekieł na ziemi. Alem już zdobył mieszkanie spokoju. A tego spokoju ducha zabrakło mi, gdy mnie strzał zbira wytrącił z równowagi.

— Więc już i żalu takiego nie czujesz, jak wprzódy?...

— Tak, duch mój pogodził się ze wszystkiem... Ale w rozterce pierwszych godzin męczył się sam z sobą i nad tobą... tak... że tej męki na wiek starczy.

— A Zygmunt?

— Pytaj go sama... Wszak jest przy tobie.

— Spokojny się czujesz, Zygmuncie?

— Płynę, jak moja pieśń ponad tą otchłanią zła, gwałtu i krzywdy... i wszystkie jęki w pieśń swego ducha biorę... i dalej niosę... w świat Ducha... Ale czy moja pieśń ma więcej spokoju od pieśni Edwarda... nie powiem. A widzisz... ducha pieśń musi mieć w sobie już spokój, żeby mogła płynąć w świat Ducha i duchem tworzyć cuda, do których sił jej brakło jeszcze w ziemskim śpiewie.

— Słyszycie te salwy?

— Tak się mszczą, tak się wysilają w złości... sami siebie pogrążając w grób nocy.

— Czyje to jęki słychać wszędzie dokoła nas?

— Tak wciąż jęczy... wciąż zawodzi.

— A wszak powietrze ciche... gdy coś tak wyje jak wiatr. To skomli... to skowyczy... żali się cicho... to wielkim płaczem ryknie... albo szlocha rozpaczliwie i łka beznadziejnie... O... wszędzie... ciągle...

— A co to? co to?

— Tak myśmy się męczyli w pierwszych godzinach po śmierci.

— Tak męczą się wciąż jeszcze ci wszyscy, którym życie zabrano nagle i niespodziewanie na obu brzegach tej rzeki...

— Męczą się... wiją w męce... Niosą się jak mgły nad rzeką... i odrywają się od brzegów, by z falą popłynąć i od ziemi oderwać się nie mogą... trzyma ich ta ziemia, trzyma... nie puszcza...

— Czemu?

— O to oni pytają, o to samo pytają... i nie dostają znikąd odpowiedzi.

— A męczą się strasznie i zrozumieć nie mogą — dlaczego... Żyć byliby chcieli... żyć jeszcze na ziemi... A dziś... między niebem a ziemią za wieszeni... nie mogą pójść dalej... dalej... dokąd lecieć mają.

— Słyszycie ten wielki jęk, co się tu po ruinach tłucze... ze zgliszczy wydobywa się z pod popiołów... i targa się o przydrożne krzaki... i wraca... i drogi znaleźć nie może... jak ci, co tu padli... bo już po pijanemu do domu trafić nie mogli...

— Czujecie ten opar, co się z tych kadzi podnosi?

— A tam... tam... tuż nad brzegiem rzeki... słyszycie, jak rozpacznie płaczą ci, których noc po nocy salwa rzuca na ziemię... brutalnie od rodziny oderwanych.

— A tam... w zaroślach pod topolami... słyszycie, jak się żalą ci wszyscy, co tam padli w walce... a żyć chcieli... młodzi...

— Widzicie tę smugę mgły, co majaczy nad falą rzeczną... To z tej krwi, co w wody spłynęła... a teraz zawodzi rozpacznie... Ona chciała życia i poszła w śmierć... spłynęła rzeką... w morze krwi ludzkiej... przelane w wojnie gwałtu z gwałtem... w wojnie krzywdy z krzywdą... w wojnie zła z nienawiścią.

— A gwiazdy odbijają się w tej rzece, a gwiazdy płyną po szafirowem morzu... i wciąż pytają: „czemu? czemu? czemu?"

— Jeszcze jedna salwa! Czy oni wybiją, wystrzelają wszystkich?!

— Edwardzie... Czy ja także tak mam paść pod salwą, jak tamci?... Zygmuncie... Czy i mnie to czeka... co was?... Dlaczego zamilkliście obaj?... Edi... Edi! zmiłujcie się... Szaleństwo ima się mojej głowy... Maryo! gdzie ty? Stój, Maryo! tam wpadniesz w ich ręce... Wróć się... Ukryjmy się tutaj, o, za tym murem... byle cicho... byle nas nie słyszeli... Przywrzyjmy do muru z zapartym oddechem, a miną nas... miną.

— Jeżeli nas znajdą?

— Już się zbliżają... już są tu...

— To konwój prowadzi skazańców...

— Uważasz, jakie twarze znajome.

— Ciszej... głos nasz doleci.

— Poznajesz? ten pierwszy... to nasz rzeźbiarz! Poznajesz... to on...

— I jego... i jego!

— Edi... Edi!... czy nic nie można dla nich zrobić?... Zygmuncie... Zlitujcie się... Ja tu nie wytrzymam... ja się między nich rzucę jak upiór... już stają... Gotowi... Edi! ja go nie dam!

. . . .

Iza, zostawiwszy Maryę w ruinach, rzuciła się przed siebie.

Za plecami skazańców znalazłszy się, wyciągnęła przed siebie ręce.

Właśnie zakomenderowano salwę, gdy naraz żołnierze zakrzyknęli i opuścili karabiny.

Komendant ich wrzasnął głosem wściekłym, lecz żołdacy, niczem nie powstrzymani, uciekali przed siebie w popłochu...

A na rumowisku trzech skazańców z opuszczonemi na piersi głowami stało, drżąc z niepewności...

Nagle jeden z nich zatrząsł się, bo mu się zdawało, że słyszał wyszeptane swoje imię. Obrócił się, poszedł poza mur szybkim krokiem... i przepadł w ciemności.

VII.

Piękny to był dzień — jeszcze za tych dobrych a niedawnych czasów...

Po uroczystym akcie odsłonięcia posągu Wojny na Placu Rewolucyi, miasto wydało w salach koncertowych bankiet na cześć twórcy pomnika. On zaś wieczorem w swoim pałacyku podejmował liczne grono gości, zebranych w swych salonach wszystko, co było najświetniejszego w mieście ze sfer Nauki i Sztuki, nie licząc najwyższych dygnitarzy.

Raut był wspaniały. Pierwsi artyści dawali, co mogli dać najlepszego.

A kiedy oficyalny program się skończył, kiedy dygnitarze opuścili progi artystycznego domu rzeźbiarza, grono przyjaciół pozostało do późnej nocy, starając się po swojemu czcić gospodarza, a bohatera dnia.

Świetna artystka operowa, a przyjaciółka z lat dziecinnych rzeźbiarza, śpiewała potężną pieśń o krzywdach wojny. Głos miała głęboki, postawę majestatyczną, oko rzucające przedziwne błyski. Więc kiedy każdą strofkę zaczynała słowem „wojna", szedł jakiś dreszcz grozy po kole słuchaczy... i nikt nie śmiał tego nastroju b awem przerywać; pod tak mocnem wrażeniem znajdowało się całe towarzystwo.

A tuż po niej żona poety, piękna Iza, zasiadłszy do fortepianu, wstrząsała dusze słuchaczy marszem tryumfalnym kompozycyi Zygmunta.

Tytuł brzmiał: „Zwycięstwo". To też czuło się od pierwszych akordów ten tryumf pełen chwały, jak gdyby glorię ogłaszały surmy bojowe.

Ale pod każdym dźwiękiem tryumfalnym czaił się ton łzawy...

Żalił się nieśmiało... zrazu jeno zcicha...

Aż naraz wybuchnęły wszystkie żałosnym karylionem dzwonów marsza żałobnego, co ponad wszystkie radosnych okrzyków peany łkał wielkim płaczem tragedyi ludzkiej.

...I było słychać wyraźnie w tych dzwonach straszną prawdę, że zawsze czyjeś zwycięstwo jest czyjąś klęską.

...I że do stolicy w tryumfie wjeżdżający koń zwycięzcy zawsze tratuje swojem kopytem pokonanych na polu walki... jak oto tam, na wielkim placu, na tym posągu świeżo odsłonionym... tyle zachwytu budzącym...

. . . .

W otoczeniu szczerych czcicieli stanął poeta-cudzoziemiec i parokrotnie improwizował, a każdym razem w innym języku, a temat dziwny, który wszystkich skupił i wtrącił w głębokie zamyślenie.

Edward, z okiem utkwionem w dalekich przestrzeniach, mówił o ogromnych pobojowiskach, jakich nigdy przedtem świat nie widział...

Mówił o tych milionach poległych, jakie padły ofiarą wielkiej wojny ludów...

Mówił o tych milionach duchów ludzkich, które świat nagle zaludniły nieuchwytnym tłumem...

Mówił, jak one unosząc się tuż nad ziemią... w krwi oparach... muszą niepokoić ludzi żywych — w duchy nie wierzących...

...jak z tych oparów krwi wstają po nocach głosy, które muszą nareszcie usłyszeć ludzie — głusi na głosy ducha.

...jak z tych oparów krwi muszą po nocy wstawać upiory, które ujrzy tłum ludzi — dotąd ślepych na wszelkie wizye z zaświata...

— Czyż będzie świat obojętnym na to, co mu powiedzą te poległych duchy?...

. . . .

A kiedy towarzystwo w zamyśleniu milczało po improwizacyi poety, zasiadł do fortepianu jego przyjaciel, Zygmunt, by zaznajomić kolo wybrańców z kilku szkicami do swej nowej wielkiej kompozycyi.

Miała to być symfonia pod tytułem „W oparach krwi".

A tematem było to samo — o czem mówił przed chwilą Edward, który tylko rozwijał tutaj, w chwilach natchnienia, myśl swego wiersza „Duchy poległych", zamienionego przez Zygmunta na pieśń chóralną, śpiewaną tuż przed odsłonięciem pomnika, jako inauguracyjną kantatę.

Dźwięki tej nigdy nie napisanej symfonii i słowa natchnionej improwizacyi Edwarda, zlewające się w jakąś nierozerwalną całość ideowo-artystyczną, zaświtały naraz błyskawicą myśli w głowie rzeźbiarza Nelina, w chwili, gdy konwój wyprowadzał go na miejsce kaźni.

Czerwoni uwięzili wielkiego artystę w tę samą noc, w którą zginął poeta Edward. Rzeźbiarzem zaopiekowała się specyalna komisya do walki z kontrewolucyą, mająca poprostu za zadanie wytępić inteligencyę.

Znęcano się nad nim w sposób wyrafinowany, używając go do ostatnich posług przy czyszczeniu kanałów.

Godziny wolne spędzał w aresztach tej komisyi — pomieszczonych w chlewach.

I właśnie z tego chlewu wyprowadzono go z wieczora, w towarzystwie poważnego uczonego, profesora chemii na uniwersytecie stolicy, oraz miejscowego lekarza, człowieka w wieku podeszłym, uchodzącego za najlepszego w kraju okulistę.

Szli we trzech pod konwojem sześciu bagnetów i komendanta wyprawy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Otrzymaliśmy następujące pismo:

„Szanowny Kronikarzu! W ostatniej swojej kronice wspominałeś z okazyi zbliżającego się sezonu wyjazdu na świeże powietrze konieczny jest tak przez Ciebie nazwany „pop". Smiej się z tego i pozwól sobie powiedzieć, a raczej napisać, że do wyjazdu na świeże powietrze w obecnych warunkach potrzebne jest jedynie „potrójne p". Jest to to samo „p", o którem swojego czasu powiedziano, że jest nieodzownem do prowadzenia wojny do czego potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Tak było w dawniejszych czasach, obecnie warunki o tyle się zmieniły, że narazie o wojnie nikt nie myśli, a świat wierząc w pokój boży Lloyda Georgea, korzystając z pogody, rozpoczyna wakacyjne wywczasy. I teraz dopiero przekonuje się pewnie, że pieniędzy potrzeba nietylko do prowadzenia wojny, ale także i na pokrycie wydatków wakacyjnego wyjazdu, połączonego dla jednej rodziny z kosztami, nie mniejszym od potrzebnych na uruchomienie i postawienie na wojennej stopie całego korpusu armii. Prowadząc wojnę, ma się bodaj nadzieję, że w razie pomyślnego jej wyniku, otrzyma się odszkodowanie, wyjeżdżając na świeże powietrze, musi się być z góry na to przygotowanym, że pieniądze te raz na zawsze przepadły i nigdy się ich już nie odzyska.

Poprostu wierzyć się nie chce, ile kosztuje dzisiaj pobyt na świeżem powietrzu i to niekoniecznie w jakiejś miejscowości o światowej sławie, ale nawet w pierwszej lepszej dziurze, dokąd poczta dochodziła w przedwojennych czasach raz na tydzień, dziś najwyżej raz na miesiąc.

Niedawno wrócił z Rabki jeden mój znajomy, który oświadczył, że za mieszkanie złożone z dwóch izb i kuchenki, żądają trzysta pięćdziesiąt tysięcy marek za sezon, litr mleka kosztuje do trzysta marek, porcya włoszczyzny potrzebnej do ugotowania rosołu sto pięćdziesiąt marek. W jednym z pism codziennych wyczytaliśmy równocześnie, że starosta warszawski skazał na miesiąc bezwzględnego aresztu niejakiego Fuchsa za postawienie ceny za mieszkanie na sezon letni w kwocie pół miliona. Jak z tego widać sezon wakacyjny zapowiada się bardzo drogo, a wyjazd na wakacye dostępny będzie jedynie dla miliarderów wojennych, milionerzy bowiem nie byliby w stanie opędzić kosztów z tem połączonych.

Na oko są to kwoty przerażające, swą wysokością, w gruncie rzeczy, po głębszem zastanowieniu się i porównaniu ich z niektórymi artykułami codziennej potrzeby, dojść się musi do przekonania, iż wyglądają one wprawdzie strasznie, ale w praktyce nie są takiemi. Jeźli się zważy, że dzisiaj za trzydzieści tysięcy marek otrzymuje się tyle zapałek ile dawniej dostawało się za dwadzieścia koron i to w drobnej sprzedaży, przyjąć się musi, że trzydzieści tysięcy marek ma obecnie wartość mniej więcej dawnych dwudziestu koron, w niektórych wypadkach stosunek ten przedstawia się jeszcze gorzej, a marka polska z dnia na dzień traci zupełnie swą wartość. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy za mieszkanie letnie, to mniejwięcej tyle co dawniej dwieście pięćdziesiąt koron, a kwota taka wówczas nikogo nie przerażała, choć za nią można było dostać stanowczo więcej, niż obecnie za setki tysięcy.

W każdym razie musi się stwierdzić, że jedynym warunkiem, umożliwiającym wyjazd na świeże powietrze, są pieniądze i to w ilości naprawdę bardzo zawrotnej. Jeśli są pieniądze, znajdzie się potrzeba i ochota do wyjazdu, jeśli ich brak, nie poradzi na to nic nawet najbardziej potrzebujący wyjazdu lub mający do niego ochotę. Aby módz sobie pozwolić na podobny zbytek, trzeba być posiadaczem bardzo grubego majątku, milionowy bowiem nawet dochód roczny na to nie pozwoli. Milionerów mamy dzisiaj ogromnie wielu, pensya roczna urzędnika najniższej rangi lub nieukwalifikowanego robotnika przekracza stanowczo pół miliona, z nich zaś żaden o wyjeździe nawet nie pomyśli, przechodzi to bowiem jego siły finansowe.

Paskarze i lichwiarze wojenni, którzy obecnie awansowali z milionerów na miliarderów, mogą sobie na coś podobnego pozwolić, powinniśmy się zatem cieszyć, że w sezonie letnim oczyści się atmosfera miasta, a lichwa i pasek przeniosą się na świeże powietrze, skąd jednak niebawem wrócą, aby sobie odbić na naszej skórze wakacyjne wydatki.

Właściciele przedsiębiorstw rozmaitego rodzaju w zdrojowiskach i uzdrojowiskach, o ile przez rok cały nie trudnili się paskarstwem w innym kierunku, obecnie rozpoczną paskarstwo sezonowe, tem dokuczliwsze, iż w krótkim czasie, gdyż w ciągu dwóch lub trzech miesięcy mające przysporzyć odnośnemu osobnikowi tyle docodu, aby mu wystarczyło na przetrzymanie wygodne, a nie frasobliwe, do roku następnego. Przypominają oni pluskwy w rzadko odwiedzanych hotelach, starające się krwią swej ofiary ugasić swe pragnienie, bo wiedzą, że na powtórzenie się podobnej gratki trzeba będzie długo czekać. Paskarstwo i lichwa przeniosą się zatem na świeże powietrze, aby tam nabrać nowych sił, my nie opuszczający murów miasta, skorzystamy na tem bodaj może tyle, iż warunki bytu poprawią się bodaj na oko, co jednak nie wyklucza, że i w mieście drożyzna podniesie się jeszcze bardziej, a nowoczesny św. Jerzy (Michalski) walczący, jako komisarz nadzwyczajny, z drożyzną, nie tak łatwo uśmierci i unieszkodliwi trapiącego nas smoka.

„Pieniędzy, i jeszcze raz pieniędzy"... oto śpiewka powtarzana dzisiaj na rozmaitą nutę przez wszystkich tych, którzy mają ochotę lub czują potrzebę wywietrzenia, a napływ gości w letniskach, zdrojowiskach jest już bardzo znaczny i z każdym dniem wzrasta coraz bardziej. Jest to zarazem dowód, że niesłusznie narzekamy na fatalne położenie finansowe, skoro bowiem tak wiele osób może sobie pozwolić na wyjazd tak kosztowny, to chyba nikt posądzić nas nie może o to, aby się nam źle wiodło".

Z treścią listu powyższego godzimy się w zupełności, znamy bowiem dobrze jego autora i wiemy, że z palca sobie nic nie wyssał, a twierdzenia swe oparł na realnych podstawach. W dzisiejszych warunkach trzeba być w samej rzeczy miliarderem, aby sobie pozwolić na wyjazd z rodziną dajmy na to do Zakopanego, Krynicy lub Rabki, na co dawniej najzupełniej pół tysiąca koron wystarczyło.

Kto zresztą ciekawy, jak obecnie wygląda pobyt na świeżem powietrzu, o ile czuje się na siłach, niechaj sam spróbuje, a potem niech się podzieli z innymi wrażeniami, jakich doznał na wilegiaturze, aby żądnych, wyjazdu zachęcić lub odstraszyć. Z góry jednak musi być każdy na to przygotowany, że go to będzie wiele kosztować i to nie tylko pieniędzy, ale także rozmaitych kłopotów i trosk, nierozłącznych z wyjazdem. Wynikałoby zatem z powyższego, że kto chce wakacye spędzić spokojnie, niechaj raczej siedzi na miejscu, nie szukając obcych bogów, zwłaszcza, że po wyjeździe z Krakowa wielkiej liczby wycieczkowców, powietrze nieco się rozrzedzi i stanie się znośniejszem. Wyzysk w zdrojowiskach i letniskach, na który w roku ubiegłym tak narzekano, na obecny sezon zapowiada się jeszcze piękniej, kto zatem na świeże powietrze nie wyjedzie, oszczędzi sobie wiele przykrości.

Najlepszem świadectwem, jak ludzie zapatrują się na kwestyę szukania zdrowia na świeżem powietrzu jest scena, jaka rozegrała się w jednej z kancelaryi notaryalnych. Zgłosił się tam mianowicie pewien obywatel, mający zamiar wyjechać z Krakowa na całe lato gdzieś do Rabki, Zakopanego, czy Krynicy, aby przedtem sporządzić wobec rejenta zeznanie ostatniej woli, bo to dziś człowiek nie jest pewnym, ani dnia, ani godziny i to na własnych śmieciach, a cóż dopiero między obcymi, dybiącymi na to, aby go obedrzeć ze skóry.

Rejent, czyniąc zadość woli zgłaszającego się, rozpoczął spisywanie testamentu pod dyktandem testatora, który zaczął w te słowa:

— Zdrów na ciele i umyśle, wybierając się na świeże powietrze...

— Nie, panie!... — przerwał notaryusz — Czegoś podobnego napisać absolutnie nie mogę!... Że pan jest zdrów na ciele, w to bynajmniej nie wątpię, gdyż, będąc słabym fizycznie, nie narażałby się pan niepotrzebnie na zwalczenie różnych trudności, z pobytem na świeżem powietrzu połączonych, do czego trzeba mieć naprawdę końskie zdrowie, aby pan jednak był zdrowy umysłowo, decydując się na krok tak ryzykowny, w to pozwolę sobie wątpić...

I skończyło się na tem, że notaryusz zeznania ostatniej woli nie spisał, wobec czego kandydat do łykania świeżego powietrza w Krakowie pozostał i prawdopodobnie tego nie pożałuje, dowiedziawszy się potem z ust innych wycieczkowców, jakie przyjemności stały się ich udziałem podczas pobytu na świeżem powietrzu.

Kto ma ochotę korzystać ze świeżego powietrza po umiarkowanej cenie, ma od tego Sikornik, las bielański, lub Panieńskie Skały, niechaj też nikogo nie odstraszają od tego wzmianki kronikarskie w pismach codziennych, jakoby stosunki bezpieczeństwa w najbliższem sąsiedztwie Krakowa pozostawiały wiele do życzenia, są to bowiem wymysły, obliczone tylko na to, aby ludność miasta odstręczyć od bliskich wycieczek, a skierować w świat szeroki, gdzie na ich przybycie czekają z utęsknieniem rozmaitego rodzaju paskarze i lichwiarze.

Załatwiwszy się w ten sposób z kwestyą wyjazdu na świeże powietrze, przechodzimy do spraw polityczncych i w pierwszym rzędzie żałosne wspomnienie poświęcić musimy konferencyi genueńskiej, która zgasła po długich a dolegliwych cierpieniach, nie doczekawszy się szczęśliwego rozwiązania. Polityczny akuszer, Lloyd George, uśmiercił pacyentkę, utrzymał natomiast przy życiu dziwoląga, w guście braci syamskich, t. j. sojusz niemiecko-bolszewicki, jedyny poważniejszy efekt genueńskiego zjazdu, choć niezbyt pożądany.

Nie mogąc usiedzieć dłużej na miejscu członkowie konferencyi wybrali się do Hagi, gdzie toczyć się będą dalsze obrady rzeczoznawców, a pokój światowy mamy podobno na kilka miesięcy zapewniony. Uczestnicy genueńskiego zjazdu rozjechali się w różne świata strony, minister Skirmunt zawadził przy tej sposobności i o Wiedeń, czego jednak z pewnością żałuje, gdyż nie był przygotowany na podobne owacyjne przyjęcie, jakie mu zgotowali przedstawiciele samodzielnej Ukrainy, narodowi heroje, bohaterscy zawsze tam, gdzie ofiara jest jedna, a ich kilku. Już to Ukraińcy są mistrzami w tego rodzaju walce, której skutki odczuli nieraz na sobie wszyscy ci, którzy z nimi w jakimkolwiek stosunku pozostawali. Tą bronią walczą oni i nietylko z wrogami, ale i ze swoimi, w Ameryce urządzili bowiem coś podobnego swemu metropolicie Szeptickiemu, który wybrał się tamże po kweście na rzecz odbudowy samodzielnej Ukrainy. Sprawa ukraińska na wystąpieniu wiedeńskiem szowinistów nic nie zyska, rozumnie myśląca Europa musi je potępić, jeden jedyny Lloyd George będzie może przeciwnego zdania, jako zdeklarowany przyjaciel i poplecznik wszystkich spraw, odnoszących się do Polski. Na ogół w Genui, jak się dowiedzieliśmy z rozmaitych sprawozdań, radzono wprawdzie niewiele, jedzono za to i pito, ile sił starczy, co należy uważać za dobrą wróżbę dla przyszłej odbudowy Europy. Czy lepiej powiedzie się konferencyi hagskiej, to dopiero przyszłość pokaże, nie należy jednak łudzić się nadzieją, aby to miało rychło nastąpić, gdyż prowizoryum powojenne, pełne niepewności, jest właśnie najodpowiedniejszym terenem do rozwinięcia działalności dla wszystkich tych, którzy trzęsą dziś Europą, ale zawsze w ten sposób, aby jabłka spadały tylko w ich stronę. Lloyd George, to może tęgi polityk, ale jeszcze tęższy geszefciarz, który bardzo smutny pomnik postawił sobie już za życia, popierając wbrew całej Europie zupełnie otwarcie takich łotrów, jakimi są bolszewicy i duchowo z nimi spowinowaceni Niemcy. Opinia angielska, o ile jest uczciwą, atakuje też Lloyda Georgea, podtrzymują go jedynie ci, którzy razem z nim wybrali się na łowienie ryb w mętnej wodzie i zależy im na tem, aby na świecie, szczególniej zaś w Europie nie przyszło nigdy do zgody i porozumienia, co utrudniłoby w wysokim stopniu ich nieuczciwe machinacye.

Jak długo potrwa konferencya w Hadze i czy się stamtąd gdzieindziej nie przeniesie, o tem także powiedzieć nie można, byłoby przecież wskazanem, aby za miejsce dalszych obrad wybrano szczyt Mont Everest, o ile oczywiście do tego czasu uda się wynaleźć wygodną nań drogę. Komisya rzeczoznawców obradujące tutaj, miałaby przed sobą szerokie horyzonty a jej członkowie nie byliby narażeni, na częste atak, morskiej choroby, która tak dawała się im we znaki podczas pobytu w Genui, co jedni tłómaczyli zbyt częstemi i obfitemi libacyami, drudzy bezpośrednim sąsiedztwem morza. Tutaj obydwa te powody byłyby prawie wykluczone.

Należałoby także poświęcić nieco miejsca obradom naszego Sejmu, który miał obecnie dwie ważne sprawy do załatwienia, mianowicie ordynacyę wyborczą i sprawę monopolu tytoniowego. Zwłaszcza ta ostatnia stała się powodem zaciekłej kampanii między stronnictwami, ponieważ jednak zakończenia jej spodziewać się możemy najwcześniej dopiero w dniu trzydziestego b. m., to jest, gdy kronika będzie już „na maszynie", odkładamy ją z umysłu do następnego numeru, w którym walka tytoniowych myszy i szczurów, godna zaiste pióra jakiegoś nowoczesnego Homera, stanowić będzie pierwszy punkt porządku tygodniowego.

„MSZCZONÓW“ Fabryka Zapałek.


Ogólny widok fabryki.

Istnienie fabryki zapałek w Mszczonowie, ziemi Warszawskiej datuje się od r. 1879. Pierwszym założycielem tej fabryki, która wówczas wyrabiała zapałki siarkowe był ś. p. Ludwik Szeller. – Gdy po kilkuletniej egzystencji fabryka spłonęła, w długi czas potem, bo dopiero w 1910 r. powstało na jej gruzach nowe przedsiębiorstwo zapałczane, tym razem już dla wyrobu zapałek na sposób szwedzki, pod firmą: Zakłady Przemysłowe „Mszczonów“, P. Czerski, L. Chmielewski i Ska. Po pewnym czasie fabryka przeszła na własność firmy „Z. Muśnicki i Ska“, a od 1913 r. prowadzona jest pod firmą: **W. Nowakowski, P. Czerski i Ska, Zakłady Przemysłowe „Mszczonów“**, będąc własnością spółki firmowo-komandytowej pod tą samą nazwą.

Zapałki „Mszczonowskie“ szybko zdobyły sobie popyt i stały się poważnym czynnikiem na polu konkurencji dla produktów przemysłu obcego, któremi zasypywano rynki b. Kongresówki. – Pojawienie się zapałek „Mszczonowskich“ było pewnego rodzaju ewenementem w życiu gospodarczem, jako krok naprzód w zakresie unarodowienia naszego przemysłu, a w szczególności przemysłu zapałczanego.


Dział wyrobu zapałek.

* * *

Rok 1915 był krytycznym okresem dla istnienia fabryki.

Dow. wojsk rosyjsk. w obawie, iż nieprzyjaciel w razie dalszego posuwania się mógłby wykorzystać urządzenia fabryczne dla wyrobu amunicji, wydało polecenie, aby fabrykę w odpowiednim momencie wysadzić w powietrze. W tym celu d. 12 lipca tego roku, a więc na kilka tygodni przed zajęciem Warszawy przez Niemców, do Mszczonowa przybyła kompanja saperów, którzy z nadzwyczajnym pośpiechem przystąpili do wykonania otrzymanego rozkazu. Tylko energicznemu stanowisku i umiejętnym zarządzeniom współwłaścicieli fabryki zawdzięczać należy, że zdołano w porę wywieźć maszyny i urządzenia fabryczne do Warszawy i ocalono w ten sposób od całkowi ej zagłady jeden z tak cennych dziś warsztatów pracy.

Fabrykę udało się uruchomić dopiero 23 listopada 1916 r. i od tego czasu rozpoczyna się jej normalny i pomyślny rozwój.

* * *

11. lutego r. b. Mszczonów obchodził uroczyście poświęcenie nowowzniesionego pawilonu fabryki, który współwłaściciele zdołali zbudować w tych ciężkich i niepomyślnych dla naszego przemysłu czasach. Ceremonję poświęcenia porzedziło nabożeństwo w kościele Mszczonowskim, które odprawił Ksiądz Dziekan Zakrzewski. Na nabożeństwie obecni byli: robotnicy fabryki, personel urzędniczy, współwłaściciele, prasa, oraz grono gości. Po przemówieniu okolicznościowem ks. Zakrzewskiego, udano się do nowowzniesionego pawilonu fabrycznego, gdzie przy wejściu oczekiwał starszy mechanik p. Szynkiewicz, który wygłosił krótkie przemówienie, poczem dwie robotnice wręczyły chrzestnym rodzicom fabryki p. Nowakowskiej i p. Czerskiemu chleb i sól.


Dział napełniania pudełek zapałkami.


Uczestnicy poświęcenia nowego pawilonu fabrycznego.

Po poświęceniu budynku i maszyn, wszyscy obecni podzieleni na grupy zwiedzili nową fabrykę. Obliczona ona jest na 300 robotników – podczas gdy stara fabryka zatrudnia 250 osób i - posiada, zarówno jak ta ostatnia, maszyny najnowszego typu, w tem nowoczesnej konstrukcji automaty „Ideal“, którym podaje się patyczki, a odbiera gotowe zapałki. Produkcja całej fabryki obliczona jest na 500 000 pudełek dziennie.

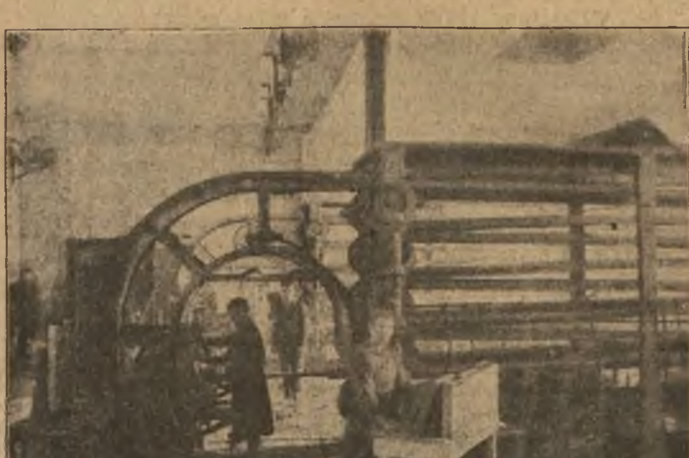
Fabryka wyrobami swemi nietylko skutecznie konkuruje na rynkach wewnętrznych, ale zdobywa też i rynki zagraniczne.

* * *

Po zwiedzeniu fabryki, wszyscy obecni goście oraz delegaci robotników i współpracowników podejmowani byli śniadaniem w domu p. p. Czerskich, współwłaścicieli fabryki. Podniosły nastrój, liczne przemówienia, a zwłaszcza nacechowane głęboką życzliwością i zaufaniem przemówienie robotników, były wymownym przykładem miłego stosunku, jaki może łączyć pracownika i przemysłowca.

Dwunastoletnia działalność Zakładów Mszczonowskich jest pięknym przykładem polskiej przedsiębiorczości, twórczej pracy, energji i wytrwania.

Dlatego założycielom i obecnym współwłaścicielom zakładów, jako też współpracownikom i robotnikom z całego serca życzyć można – aby Zakłady Mszczonowskie rozwijały się jak najpomyślniej, aby ich wytrwała praca, umiejętność fachowa i energja znalazły w społeczeństwie polskiem należytą ocenę.


Maszyna „Ideal“ otrzymuje surowe patyczki a wydaje gotowe zapałki.


Dział fosforowania, banderolowania i pakowania zapałek do wy[sy…]

legami, którzy, jak doświadczenie uczy, dają nieraz w przykry sposób odczuć swym towarzyszom studyów dzielącą ich różnicę wieku.

Warszawskie gimnazyum państwowe dla byłych żołnierzy rozwija się bardzo pomyślnie, ciesząc się liczną frekwencyą byłych gimnazyalistów, którzy w jego braku nie zdecydowaliby się może na podjęcie z powrotem przerwanej nauki w warunkach dla osób starszych nie zawsze odpowiednich i pożądanych. W dniu 17. maja b. r. zwiedził ten zakład prezydent ministrów Ponikowski składając przy tej sposobności dwieście tysięcy marek na opędzenie kosztów wycieczki uczniów tego zakładu do Krakowa.



Nowy komendant krakowskiego „Strzelca“: Pułkownik Józef Olszyna Wilczyński, komendant Obwodu Kraków-Miasto Związku Strzeleckiego. Fot. R. Wiśniewski, Kraków.



Nowy komendant krakowskiego „Strzelca“: Kompania krakowskiego Związku Strzeleckiego w składzie, w jakim wzięła udział w tegorocznym obchodzie Trzeciego Maja. Fot. Karaś, Kraków.

Układy gospodarcze między Polską a sowiecką Ukrainą.

Po załatwieniu nieporozumień natury gospodarczej między Polską a jej wschodnimi sąsiadami, co nastąpiło w Rydze, przyszła kolej i na inne sprawy, przedewszystkiem zaś natury ekonomicznej. Tak do sowieckiej Rosyi, jak i sowieckiej Ukrainy, najwygodniejszy dostęp jest od strony granicy polskiej, w interesie zatem obu państw, sąsiadujących ze sobą, leży zaprowadzenie regularnej komunikacyi między niemi, co wpłynie dodatnio na wzajemne



Ofiary zawodu: Starszy wywiadowca policyjny Różycki ze Sanoka, raniony ciężko przez bandytów. Fot. M. Münz, Lwów.

stosunki handlowe i ułatwi ruch transitowy przez Polskę.

W tym celu prowadzone są obecnie rokowania między Polską a zarządem południowo-zachodnich kolei rosyjskich. Rozchodzi się o rozpoczęcie normalnego ruchu kolejowego między Polską a Ukrainą na linii Podwołoczyska-Wołoczyska. Kwestyę tę rozpatrywała mieszana komisya polsko ukraińska, która w dniu 17 maja b. r. przeprowadziła zbadanie urządzeń stacyjnych w Wołoczyskach i Podwołoczyskach, następnie zaś udała się do Lwowa, gdzie w gmachu Dyrekcyi kolejowej odbył się dalszy ciąg rokowań, wzorowanych na poprzednich, po których nastąpiło uruchomienie linii granicznej między Zdołbunowem a Szepetówką.

Delegacya sowieckiej Ukrainy składa się z siedmiu członków, w mniejszej części z fachowców, w większej z komisarzy ludowych, a pozostaje pod kierownictwem dyrektora Wydziału ruchu, Puszkarewa. Polskiej delegacyi przewodniczy starszy radca kolejowy, Wieniewski. Obrady komisyi toczyły się w języku polskim, którym delegaci ukraińscy władają zupełnie poprawnie.

Otwarcie normalnego ruchu kolejowego między Podwołoczyskami a Wołoczyskami ma dla naszego handlu i przemysłu ogromne znaczenie, na tym szlaku odbywają się bowiem bardzo ożywione pertraktacye handlowe między Polską a Rosyą i Ukrainą, z powodu braku bezpośredniego połączenia kolejowego nieraz bardzo utrudnione.

Nowy komendant krakowskiego „Strzelca“.

Nasza organizacya „Strzelca“ — to instytucya, która w dziejach odradzającej się Ojczyzny odegrała pierwszorzędną rolę, zapisując się bardzo chlubnie na kartach wydarzeń politycznych ostatniego lat dziesiątka. Założona przez ludzi dobrej woli i niespożytej energii, którzy niepodległość Polski stale mieli na oku, gromadziła pod swymi znakami młodzież naszą bez różnicy zapatrywań politycznych, ucząc ją miłości Ojczyzny i oddania się niepodzielnie Jej służbie.

Z chwilą, gdy umilkły surmy bojowe, a względny spokój stał się naszym udziałem, — „Strzelec“ dzieła swojego nie uznał za skończone, przeciwnie, pracą swoją prowadzi dalej w duchu, przez założycieli wytkniętym, tym razem jednak w warunkach daleko pomyślniejszych, jako organizacya, ciesząca się pełnem poparciem i zaufaniem tak rządu, jak i społeczeństwa polskiego. Oddziały strzeleckie to kadry, które w razie potrzeby mogą stanowić podstawę do utworzenia potężnej armii ochotniczej, pozatem, ćwicząc militarnie swych członków, przygotowują ich wcześnie do służby pod ojczystymi sztandarami.

Po osiągnięciu samodzielności i zjednoczeniu naszych dzielnic, uzyskał i „Strzelec“ silną organizacyę, dającą rękojmię stałego i należytego rozwoju, mogącego zapewnić Polsce w razie potrzeby potężny zastęp obrońców Jej praw i granic. Organizocya ta, tworząca jednolitą całość na obszarze ziem polskich, rozpada się na poszczególne oddziały, a jednym z nich jest Obwód Kraków-Miasto „Związku Strzeleckiego“, na którego czele stanął obecnie nowy komendant w osobie zaszczytnie znanego oficera Organizacyi Strzeleckich z lat przedwojennych i byłego oficera I. Brygady Legionów Polskich, Józefa Olszyna Wilczyńskiego, pułkownika Wojsk Polskich.

Pułkownik Wilczyński, znany pod pseudonimem „Olszyna“, jest jednym z najstarszych oficerów strzeleckich i posiada jako taki odznakę oficerską Związków i Drużyn strzeleckich, którą obok Marszałka



Nowy komendant krakowskiego „Strzelca“: Krakowski Oddział Konny Związku Strzeleckiego im. Beliny Prażmowskiego po powrocie z obchodu Trzeciego Maja b. r. Fot. Karaś, Kraków.

Piłsudskiego tylko sześćdziesięciu oficerów (licząc wraz z poległymi na polu chwały) ma prawo nosić. Ponadto komendant Olszyna został za męstwo na froncie odznaczony krzyżem *Virtuti militari* i Krzyżem walecznych.

Związek Strzelecki w Krakowie posiada obecnie 5 oddziałów: I. Batalion Szkolny im. Józefa Piłsudskiego, I. Oddział Konny im. Beliny Prażmowskiego, Oddział Dębnicki, Krakowski Oddział Robotniczy im. Pększyca Grudzińskiego, Oddział Robotniczy w Podgórzu oraz dwa oddziały obecnie pomocnicze: Koło P. ń Obwodu Kraków-Miasto i Sekcya Akademicka Obwodu Kraków Miasto Związku Strzeleckiego.

Ofiary zawodu.

Fala bandytyzmu, jedno z następstw wywołanych wojną stosunków, zatacza u nas coraz szersze kręgi, a niektóre okolice żyją pod ciągłą grozą napadów band rozbójniczych, rekrutujących się z ostatnich mętów społeczeństwa. Wszelkie wysiłki władz bezpieczeństwa aby tej pladze kres położyć, nie odnoszą celu, siły policyi państwowej są za słabe, ażeby podołać trudnemu zadaniu, rozzuchwaleni tem bandyci hulają z coraz to większą bezczelnością. W tych

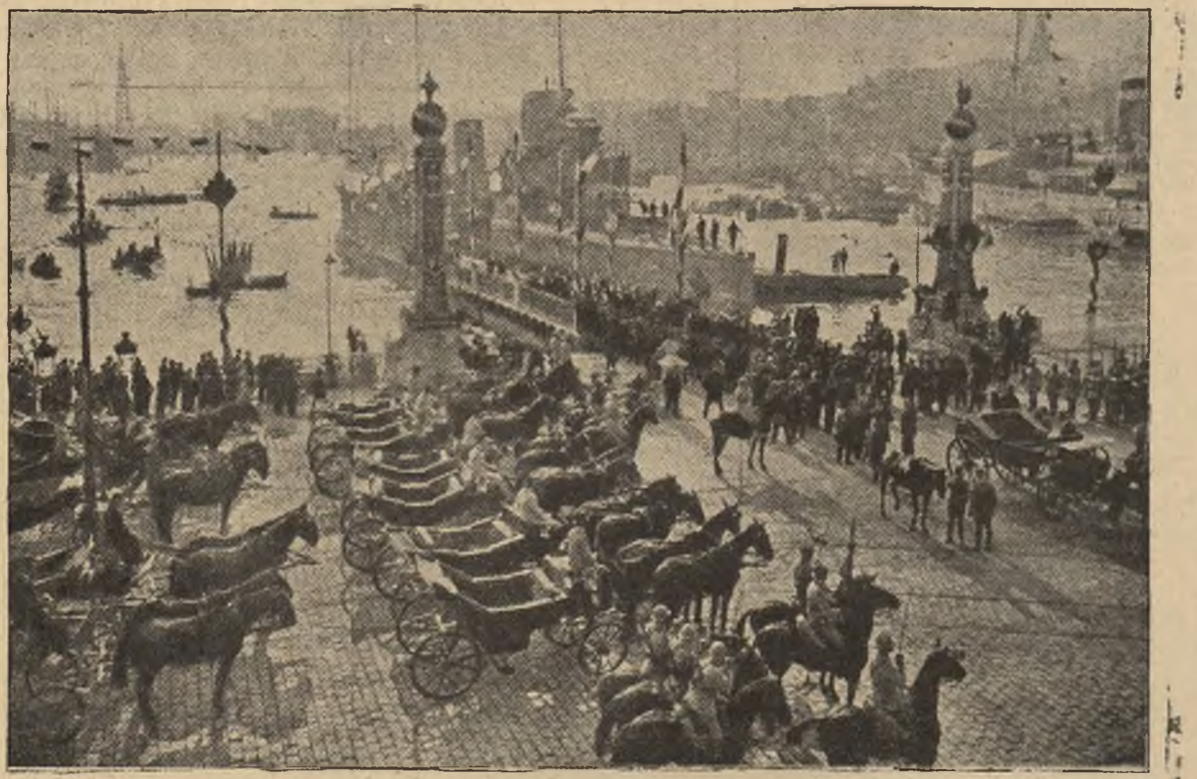


Ofiary zawodu: Zwłoki zamordowanych przez sanockich bandytów st. posterunkowego Lechowicza (X) i wywiadowcy policyi śledczej Wojciecha Zawieji (XX)

warunkach wprost niezrozumiałe wydają się wieści, idące z Warszawy, o proponowanej ze względów oszczędnościowych redukcyi policyi, na czem najgorzej wyjdzie bezpieczeństwo publiczne i tak już aż nadto wiele pozostawiające do życzenia.

Jaskrawym dowodem bezczelności bandytów jest wypadek, jaki w ubiegłym tygodniu zaszedł w Sanoku. Starszy wywiadowca policyjny Różycki, spotkawszy na jednej z najruchliwszych ulic miasta w godzinach przedpołudniowych podejrzane osobniki, przystąpił do ich wylegitymowania, w trakcie którego jeden z opryszków wydobył błyskawicznym ruchem rewolwer i strzelił do wywiadowcy, raniąc go ciężko. Powstała łatwo zrozumiała panika, z której korzystając, zbiegli bezkarnie sprawcy zamachu. Zarządzony natychmiast pościg w różnych kierunkach, okazał się już w krótkim czasie skuteczny, gdyż w pociągu kolejowym, zdążającym z Sanoka do Chyrowa, wywiadowca Zawieja i posterunkowy Lechowicz napotkali sprawców, którzy na widok policyi rzucili się do ucieczki. W czasie pogoni wywiązała się zacięta walka, w której od kul bandytów zginęli Zawieja i Lechowicz, ponadto odniosło rany kilka osób cywilnych, złoczyńcom zaś udało się znowu uciec. Ostatecznie wpadła policya na ich trop, doniesienia pism codziennych są jednak dość niejasne, jedne bowiem podają nazwiska dwu ujętych bandytów, z których jeden ma pochodzić rzekomo z Jarosławia, drugi z Łodzi, inne podają wersyę o ujęciu tylko jednego.

Ciężko raniony wywiadowca Różycki pozostaje w leczeniu w szpitalu sanockim, gdzie odwiedził go prezydent ministrów Ponikowski, bawiący w tym czasie w tamtej okolicy. Pogrzeb ofiar ciężkiego zawodu, wywiadowcy Zawieji i posterunkowego Lechowicza miał charakter manifestacyjny. Wzięli w nim udział delegaci województwa lwowskiego, komendy policyi państwowej, miejscowych władz i instytucyi oraz nieprzejrzane tłumy bez różnicy wyznania i narodowości. Na rzecz wdów i sierot po zabitych urządzono subskrypcyę wśród miejscowego obywatelstwa, która przyniosła ponad półtora miliona marek, również prezydent Ponikowski wyznaczył dla nich znaczne zapomogi.



Prezydent Millerand na Wystawie kolonialnej w Marsylii: Wylądowanie prezydenta Millleranda w Marsylii po powrocie z Afryki Północnej.

Prezydent Millerand na Wystawie kolonialnej w Marsylii.

Prezydent Republiki Francuskiej powrócił już do ojczyzny po blisko miesięcznej podróży po Północnej Afryce. Dziwnie rażąco odbijają sprawozdania z jego pobytu wśród przedstawicieli rasy żółtej od takichże, donoszących o „owacyjnem" przyjęciu ks. Walii, bawiącego równocześnie w Indyach.

Drogą powrotną na Korsykę przybył Millerand w początkach maja do Marsylii, gdzie zwiedził przedewszystkiem Wystawę kolonialną, otwartą pod jego nieobecność.

Wystawa marsylska, jak zapewniają korespondenci pism zagranicznych, to jak gdyby karta, wycięta z czarujących bajek „Tysiąca i jednej nocy", przenosząca widza, bez potrzeby opuszczania Europy w tajemnicze okolice Wschodu. Francya może być dumną z doprowadzenia do skutku tego dzieła, z którem nie mogą iść w porównanie wszelkie dotychczasowe podobne przedsięwzięcia. Jest to jeden etap więcej w zbliżeniu Republiki Francuskiej do ludów Wschodu, które przybywają masowo do Marsylii, aby podziwiać wspaniałe zabytki swej sztuki i kultury w cudowny zaiste sposób przeniesione na doleki Zachód.

Na terenie około 40 hektarów wznoszą się czarujące pałace symboliczne, które umożliwią zwiedzającym poznanie w ciągu kilku godzin malowniczej architektury Indochin, egzotycznych budowli, syryjskich i rozkosznych rezydencyi książęcych Algieru i Marokko. Wznosząca się na środku placu wystawowego pagoda z Angkor, zaabsorbowała 4000 metrów kubicznych drzewa ciesielskiego i pracę setek robotników. Pagoda ta uchodząca za cud sztuki oryentalnej, otoczona jest wspaniałymi ogrodami.

Francuska Afryka zachodnia posiada na wystawie wieżę wysokości 60 metrów, z której roztacza się widok na całą wystawę. Bardzo malownicze pawilony ma Marokko, konstrukcye zaś egzotyczne Tunisu są arcydziełami sztuki arabskiej. Pawilon Syryjski olśniewa dekoracyami, a również ponętne jest wnętrze pałacu algierskiego. Między pałacami ogrodnicy francuscy umieścili przepiękne klomby kwiatów egzotycznych, dywanów kwiatowych i koszów rozsiewających oszałamiającą woń. Program uroczystości, przewidzianych na otwarcie wystawy był niezwykle zajmujący. Głównem „clou" były pochody krajowców z wszystkich kolonii francuskich. Przez całe lato w parku wystawowym odbywać się będą koncerty muzyk marsylskich, przeplatane egzotycznemi produkcyami muzyków kolonialnych. W głównej sali urządzane będą odczyty i produkcye literackie, artystyczne, recytacye poezyi marokańskiej, tunizyjskiej, syryjskiej i indochińskiej.



Prezydent Millerand na Wystawie kolonialnej w Marsylii: Prezydent Millerand wraz z orszakiem udaje się celem zwiedzenia słynnej pagody z Angkor na Wystawie marsylskiej.

Z TEATRÓW

Przed wojną repertuar teatru im. Słowackiego obejmował dość znaczny procent sztuk autorów rosyjskich. Oglądaliśmy „Wiśniowy sad“, „Wujaszka Wania“ Czechowa, „Żywy trup“ Tołstoja, patrzyliśmy z zainteresowaniem na sztuki Gorkija, bawiliśmy się wybornie na „Rewizorze z Petersburga“. Dziś ten napływ rosyjskich dramatów ustał — a sądzę, że to się dzieje z pożytkiem dla wrażliwej polskiej duszy. Pomijam kwestye artystyczne, literacką formę różną u różnych pisarzy, ale chodzi mi o dno duszy występujących bohaterów, o wpływ moralny, jakie te utwory wywierały zwłaszcza na pokolenie młode. Otóż zaprzeczyć się nie da, że siały one napozór słodką, ponętną, ale w gruncie rzeczy straszliwie zgubną truciznę moralną, apoteozowały anarchię ducha i bezład uczucia, na piedestale stawiały ludzi chorych, niedołęgów charakteru i myśli, czyniąc z nich... ideały subtelności ludzkiej duszy... Żaden z tych bohaterów nie wziął się z nieszczęściem za bary, żadnemu nie przyszło imać się pracy, pobratać z żelazną wolą...

Takim samym „artystą“ i melancholijnym, pięknym niedołęgą jest „Ten, którego biją po twarzy“. Uwiedziono mu i odbito żonę, obkradziono z naukowych a cennych pomysłów, a on — nasz pan Ten — zamiast zakasać ręce i stanąć do rozprawy z łotrostwem i nieszczęściem, chowa się do cyrku i daje się bić jako klown po twarzy, tak, jak go dotąd — równie niezasłużenie — biło po twarzy dotychczasowe życie... Tragedya niewątpliwie straszna, isto tna; ale pomysł potraktowany iście po rosyjsku (autorem L. Andrejew). Za kulisami w cyrku tłoczy się wszystko: łajdactwo i czystość ideału i chamstwo, miłość i kuplerstwo, wzniosłość i podłota. Bohater w jednym kwadransie przechodzi przez pięć gam uczuć: śmieje się i płacze, zdobywa na energię, to znów tchórzy i czuje się śmieciem, prawi o zaświatach, to znów bawi się w powszednie plotki — ot symbol — doskonały symbol, a może typ — chorej, wstrętnej, histerycznej rosyjskiej duszy.

Grano ten utwór w „Bagateli“ bardzo starannie. Los zdarzył, że widziałem tę sztukę także w Warszawie w „Teatrze polskim“. Mówię otwarcie, że



Z Teatru P. Żelska i p Minowicz artyści Teatru „Opera i operetka“ w Krakowie. Fot. art. „Studio“.

poza pewnemi niedociągnięciami „Bagatela“ Warszawie prawie dorównała...

„Ten, którego biją po twarzy“ ma w Krakowie pełne powodzenie; niemiły był tylko sposób reklamowania tej sztuki, niepokoiły również zbyt częste spacery koni po scenie.

Wogóle interesujących nowości i wznowień w teatrach krakowskich ostatnimi czasy wiele, ani nadążyć nie można chodzić na „premiery“, a są dni, że w jeden wieczór aż cztery „nowości“ naraz... Zanim o nich przy sposobności wspomnimy, zaznaczamy tymczasem, że teatr „Opera i operetka“ gra i śpiewa z oper „Onegina“, a z operetek „Urlop małżeński“... Publiczność zwłaszcza na operetkę śpieszy chętnie, bawiąc się niefrasobliwie a dobrze... Z młodych artystów szczególniejszymi względami cieszą się między innymi p. Żelska i p. Minowicz, oboje młodzi, pełni temperamentu i rzetelnego poczucia sceny. *b—i.*

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego